

**Leszek Koczanowicz**

**Rok w raju (naukowym),  
czyli jak działa wspólnota badaczy**

W połowie września 2024 roku w upalny wieczór Dorota i ja, małżeństwo akademickie z Wrocławia, kulturoznawczyni i filozof; wylądowaliśmy na lotnisku **Newark**, rozpoczynając przygodę pobytu badawczego w Instytucie Studiów Zaawansowanych w Princeton (Institute for Advanced Study, IAS), gdzie dzieje się spora część akcji *Maniaka*. Instytut zorganizowany jest jako wspólnota uczonych, rodzaj świeckiego **klasztoru**, i obowiązuje w nim zasada, że wszyscy muszą mieszkać na jego terenie, w budynkach zaprojektowanych przez architekta z Bauhausu Marcela Breuera. Wiedzieliśmy, że nam przydzielono mieszkanie przy von Neumann Drive numer 235, co stało się naszym adresem przez najbliższy rok akademicki. Przy zamawianiu taksówki trzeba było się przebić przez amerykańską wymowę tego niemieckiego nazwiska, ale po nieco ponad godzinnej jeździe dotarliśmy na teren IAS.

Dorota została z **bagażami**, a ja ruszyłem na poszukiwanie kluczy do głównego budynku Fuld Hall. W końcu dotarłem do nocnego strażnika i zdobyłem klucze, co umożliwiło nam wkroczenie do naszego mieszkania na parterze małego piętrowego domku. Breuera zatrudnił Oppenheimer, który był dyrektorem Instytutu przez dwadzieścia lat. Między sosnami powstało modernistyczne osiedle, zaprojektowane w myśl zasady maksymalnej prostoty i użyteczności. Celem tego przedsięwzięcia było stworzenie środowiska sprzyjającego budowaniu ducha wspólnoty wśród członków IAS. Mimo upływu czasu ciągle wygodnie się w nich mieszka.

Już wkrótce mieliśmy się zorientować, że Instytut to właściwie osobne, oddalone od świata zewnętrznego osiedle, z własną infrastrukturą i domkami **mieszkalnymi**, usytuowane w rozległym gęstym lesie ze stawem pośrodku. Nad lasem krążą sępy indyjskie, mieszkają kardynały, dzięcioły, drozdy, czaple, **kaczki...** 200 gatunków ptaków migrujących. Ci, którzy oglądali głośny film *Oppenheimer*, pamiętają może kluczową dla fabuły rozmowę między Einsteinem i tytułowym bohaterem dokładnie w tym miejscu, nad tym stawem. Jak doszło do powstania IAS, unikalnej wspólnoty uczonych?

U początków Instytutu leży fuzja dwóch **czynników**; idei i pieniędzy, które pozwoliły ją zrealizować. Pomysł pojawił się w końcu lat dwudziestych ubiegłego wieku w umyśle Abrahama Flexnera, uczonego i reformatora edukacyjnego, który patrząc wstecz na swoje dokonania, pisał w eseju o znamienym tytule *Użyteczność bezużytecznej wiedzy* o badaniach podejmowanych dla zaspokojenia ciekawości badaczy; właśnie

one – twierdził – najbardziej zmieniają świat. Ich konsekwencje praktyczne transformujące często trajektorie rozwoju całych cywilizacji są wtórne w stosunku do podejmowanych bezinteresownie wysiłków, by lepiej zrozumieć otaczającą nas rzeczywistość. Uważał, że *Instytut powinien być niewielki i elastyczny; powinien być przystanią, w której uczeni mogą traktować świat jako swoje laboratorium, nie dając się porwać wirowi bieżących wydarzeń; powinien być prosty, wygodny, cichy, ale ani ascetyczny, ani odizolowany; nie powinien obawiać się żadnych kwestii ani podlegać presji jakiegokolwiek podmiotu, który mógłby skłaniać naukowców do stronniczości. Powinien zapewniać spokój, infrastrukturę i czas niezbędny do fundamentalnych badań nad nieznanym. Naukowcy powinni cieszyć się pełną swobodą intelektualną i być wolni od obowiązków administracyjnych.*

Koncepcja takiej swobody twórczej jest oczywiście obciążona ryzykiem, ale zdaniem założycieli Instytutu warto było ją podjąć. Na stronie internetowej IAS jest informacja, że przewinęło się tam trzydziestu siedmiu noblistów i czterdziestu sześciu laureatów Medalu Fieldsa, odpowiednika Nobla w matematyce. Jeden z członków Instytutu, Abraham Pais, napisał o swoim pobycie tam w latach czterdziestych: *To jest nierealne miejsce, Bohr przychodzi do mojego biura porozmawiać, wyglądam przez okno i widzę Einsteina idącego do domu ze swoim asystentem. Dwa biura dalej siedzi Dirac. Na dole siedzi Oppenheimer.* Wielkich nazwisk nie brakuje w historii Instytutu, ale oczywiście największe wrażenie robią ci najwybitniejsi, przede wszystkim Albert Einstein, który spędził tam ostatnie dwadzieścia lat życia, Kurt Gödel czy John von Neumann, którzy przebywali tam równie długo. Jest wiele historii i anegdot o ich stylu życia. Von Neumann znany był z organizowania muzyczno-alkoholowych imprez, na które skarżyli się **sąsiedzi**. **Nie odpowiadała im zwłaszcza głośna muzyka marszowa monarchii habsburskiej.**

Moją ulubioną opowieścią jest jednak ta o **Gödlu**, który przygotowując się **do egzaminu wymaganego** przy staraniu się o obywatelstwo amerykańskie, przeanalizował analitycznie konstytucję amerykańską i doszedł do wniosku, że istnieje w niej wewnętrzna sprzeczność, która prowadzi do tego, iż nie ma w niej zabezpieczeń przed wprowadzeniem ustroju totalitarnego w tym kraju. O swoim odkryciu powiedział przyjacielowi Oskarowi Morgensternowi, też profesorowi w Instytucie, który z kolei przekazał tę informację Einsteinowi. Mimo że odkryta przez austriackiego logika wada ma nawet swoją nazwę „**Gödl**a luka prawna”, wciąż trwają spory o jej treść, gdyż przekazana przez Morgensterna wersja historii jej nie zawiera. Tak czy inaczej, odkrycie to spowodowało

wało, że rozprawa w sprawie przyznania mu obywatelstwa nabrała dramatycznego wymiaru, kiedy sędzia zapytał, czy Stany Zjednoczone mogą stać się państwem totalitarnym. Na szczęście Einstein i Morgenstern byli obecni na rozprawie i sędzia, który znał Einsteina z rozprawy o obywatelstwo, zauważył jego zaniepokojenie i szybko zmienił pytanie. Może i zbyt szybko, może drażnienie tej luki doprowadziłoby do takiej sytuacji, że rzeczywiście zamknięto by drogę autorytaryzmowi, którego przejawy z takim niepokojem obecnie obserwujemy.

Anegdota pozwala jednocześnie oswoić i zmitologizować Instytut, ale jego urok i rozmach polega na ciągłym przenikaniu się życia codziennego i pracy naukowej. Symbolem tego przenikania mogą być zwykłe czarne tablice, które stoją we wszystkich budynkach, ale też w lecie na trawnikach. Kreda do nich sprowadzana jest z Japonii, bo tylko ta nie brudzi rąk. Przy każdej z nich gromadzi się tłumek matematyków czy fizyków, a po ich odejściu często pozostają polecenia, aby „nie ścierać!”.

Przedłużeniem spotkań naukowych są przechadzki po lesie Instytutu. Do legendy przeszły spacer Einstein z **Gödem** i wypowiedź tego pierwszego, jak ważne były one dla niego. Stało się to częścią mitologii Instytutu, bo jak pisał George Dyson, historyk nauki i syn wybitnego **fizyka**, *nikt nigdy nie dowie się, ile problemów z matematyki, fizyki, historii, astronomii, ekonomii, nauk politycznych, społecznych, informatyki i biologii zostało o krok bliżej rozwiązania dzięki wspólnej rozmowie lub samotnemu spacerowi po lesie Instytutu.*

Spaceruje się oczywiście istotnie, ale cały proces życia w Instytucie sprzyja ciągłej wymianie opinii. Istotną jego część stanowią wspólne posiłki w stołówce. Tam się wszyscy spotykają i dochodzi do spontanicznych rozmów, które często przekształcają się w prawdziwe naukowe dyskusje. Generalnie można powiedzieć, że **takie elementy wspólnego życia jak** mieszkanie obok siebie, posiłki, spotkania w barze, który jest na terenie IAS, **sprawiają**, że pobyt tam to właściwie nieustająca rozmowa, źródło inspiracji, ale czasem też i irytacji, kiedy nie udaje się uzgodnić poglądów.

Naturalnie istnieją, choć zredukowane do minimum, obowiązkowe formy dyskusji. Na początku pobytu powiedziano nam, że szanują każdy styl pracy, można pracować w przydzielonych pokojach w West Building, w biurze, w mieszkaniach, w bibliotece czy jednym z pokoiów seminaryjnych. Jedynym obowiązkiem było uczestnictwo w poniedziałkowych seminariach, gdzie każdy miał okazję przedstawić wyniki swych **badania**, i wspólny lunch po formalnym zakończeniu dyskusji. To nie była seria referatów „do protokołu”. Towarzyszyła im długa, często bardzo krytyczna, ale merytoryczna i życzliwa rozmowa. Widać tam coś, czego często

brakuje w naszych instytucjach: czas. Jest miejsce na pytania, nieporozumienia, na różnice języków między socjologią, antropologią, filozofią polityki. Tak jednak jest w obrębie Szkoły Nauki Społecznej, a Instytut składa się z czterech takich **szkół**; oprócz już wymienionej **są to szkoły** Nauk Przyrodniczych, Matematyki i Studiów Historycznych. Każda z nich ma swoje wewnętrzne zwyczaje i rytmy pracy ukształtowane przez długą historię. Wspólna jest ogólna struktura, każda z nich składa się ze stałej, nielicznej kadry i zmieniających się grup uczonych, którzy dołączają zwykle na semestr lub rok, choć niektórzy pozostają dłużej.

Szkoła Nauki Społecznej jest stosunkowo świeżym dodatkiem.

Jej powstanie było jednym z najbardziej kontrowersyjnych wydarzeń w historii Instytutu. Powstała w 1973 roku z inicjatywy wybitnego antropologa Cliforda Geertza. Jak pisze **on** w swych wspomnieniach, **utworzenie tej szkoły nie było łatwym zadaniem** mimo zaangażowania w sprawę ówczesnego dyrektora Carla Kaysena. Wielu przedstawicieli nauk ścisłych radykalnie przeciwstawiało się tej idei, uważając, że nauki społeczne nie są tak naprawdę naukami i przez to Instytut straci znaczną część swego prestiżu. Grozili oni dyrektorowi, że utworzenie tej szkoły będzie jego Wietnamem czy pyrrusowym zwycięstwem.

Napięcia te skumulowały się przy okazji zatrudnienia Roberta Bellaha, wybitnego socjologa religii. Przeciwstawiała się temu większość profesorów, głównie, choć nie tylko z nauk przyrodniczych i matematyki. Sprawa stała się sensacją gazetową i Geertz przytacza nagłówki prasowe z tego czasu: *Kłopoty w rajach, Pioruny na Olimpijce, Ogród Samotnego Mędrca, W gajach, w których pracował Einstein... dialog nie jest sokratejski, Zaciekle walczy z kości słoniowej*. Inny uczestnik tej kontrowersji, filozof Morton White, który był przeciwnikiem zatrudnienia Bellaha, opisuje ciekawą dyskusję na zebraniu Rady Instytutu, która, jak myślę, dobrze ilustruje rozbieżności w myśleniu przedstawicieli różnych nauk. Kurt Gödel powiedział, że dla niego głównym kryterium wielkości uczonego jest to, na ile przybliży się on do prawdy. Na przykład byli wybitni skądinąd uczeni, którzy bronili teorii flogistonu, która okazała się całkowicie fałszywa. Pytał więc, czy Bellah w swoich badaniach zbliży się do **prawdy**, czy od niej się oddala. Na to replikował Geertz, że w naukach społecznych głównym kryterium wielkości uczonego jest wpływ, jaki ma na badania swoich kolegów w uprawianej przez siebie **dyscyplinie**, i niewątpliwie pod tym względem Bellah jest wybitny. Gödel **zapytał**: **A co, jeżeli wpływa on tylko na mierne umysły?**

Z obecnej perspektywy, kiedy spory ucichły, a nauki społeczne są trwałym elementem Instytutu, możemy potraktować tę wymianę zdań jako podstawę rozważań, jak łączyć różne kryteria wartościowania wiedzy. Czy możemy mówić jednym językiem o prawdzie w fizyce i socjologii? Czy w ogóle powinniśmy? Pewno nikt nikogo nie przekonał, ale spór uwidoczniał założenia, które każda ze stron wnosi ze swojej dyscypliny, co samo w sobie stanowi wartość. Obecnie, kiedy Szkoła Nauki Społecznej wpisała się na **trwale** w struktury **Instytutu**, dyskusja idzie raczej w stronę możliwości integracji wiedzy, czyli interdyscyplinarności czy transdyscyplinarności. Spotkania przedstawicieli różnych dyscyplin są istotną misją IAS. Jedną z możliwości jej realizowania jest wspólny, interdyscyplinarny lunch. Trzeba się na niego zapisać z wyprzedzeniem, żeby dołączyć do stolika czekającego na uczonych różnych specjalności. Moje doświadczenia z takich spotkań są ambiwalentne. Czasem wymiana zdań sprowadzała się do odpowiedzi na rytualne pytanie o zakres pracy naukowej, który bywa tak ezoteryczny, że właściwie nie zostawia pola do dalszej dyskusji. Czasem jednak pojawiają się jakieś punkty zaczeplenia i udawało się rozmowę kontynuować.

Bardziej żywe dyskusje toczyły się na wykładach interdyscyplinarnych, w trakcie których uczeni przedstawiali swoje idee przez 15 minut, potem następowało 20 minut sformalizowanej dyskusji, która na koniec przekształcała się w swobodną rozmowę przy barze. Pamiętam z jednego z takich spotkań ciekawą, choć niekonkluzywną wymianę **zdań na temat tego**, co to znaczy, że człowiek rozumie formuły **matematyczne**, a AI, choć je generuje, nie jest w stanie ich zrozumieć. Humanisci chcieli definicji „rozumienia” a matematycy uważali, że jest ona oczywista.

Jednak w obrębie pokrewnych dyscyplin – w moim **przypadku**: historii i nauk społecznych – dyskusje były zawsze żywe i przynajmniej pouczające, nawet jeśli nie prowadziły do rozwiązania problemu. W ogóle Instytut można określić jako nieustający dialog, ciągle spotkania owocują dyskusjami, które zaczynają się w najbardziej nieoczekiwanych **miejscach**, jak choćby **pralnia**, i potem albo zanikają, albo przenoszą się w inne miejsca, a ich tematy **wciąż powracają**.

Sukces tego miejsca sprawia, że w ostatnich dekadach obserwujemy dynamiczny rozwój Instytutów Studiów Zaawansowanych, które w mniejszym lub większym stopniu odwołują się do modelu IAS w Princeton. Działa na przykład europejska sieć około 25 instytutów, istnieje konsorcjum francuskich IAS-ów, powstają ośrodki związane z uniwersytetami (jak Radcliffe Institute na Harvardzie), a obok nich funkcjonują instytuty niezależne, takie jak NIAS w Holandii. Myślę, że popular-

ność ta wynika z tego, że pełnią one dziś rolę uzupełnienia systemu grantowego: o ile w grantach dominuje presja na szybki, mierzalny wynik, planowanie rezultatów na kilka lat naprzód oraz składanie obietnic *impactu* jeszcze przed rozpoczęciem badań, o tyle w instytutach typu IAS kluczowa jest presja na myślenie, wymianę, dialog. Nie oczekuje się tam natychmiastowych „produktów”; zakłada się raczej, że czas poświęcony na spokojne rozważania, rozmowy i twórcze błędzenie przełoży się dopiero po jakimś czasie na konkretne osiągnięcia. To zatem nie alternatywa wobec grantów, lecz konieczny kontrapunkt.

Kiedy opuszczaliśmy IAS w lipcu 2025 roku mieliśmy poczucie, że to był jeden z najlepszych, jeśli nie najlepszy rok naszego życia naukowego. Myślę, że podzielały to odczucie wszystkie osoby z naszej grupy, choć trudno byłoby nam **wyjaśnić**, co się takiego wyjątkowego wydarzyło. Wszyscy byliśmy zaawansowanymi badaczami, każdy miał doświadczenie urlopów naukowych, pracy w grupie kolegów, dyskusji i wspólnego dochodzenia do konkluzji. Każdy z elementów pobytu był więc nam znany i przemyślany. Ale jednocześnie czuliśmy, że nasz czas w Instytucie był wyjątkowy. Co o tym decydowało?

Jeżeli miałbym ryzykować jednoznaczną odpowiedź, to stawiałbym na intensywność doświadczenia, jego, jeśli tak można powiedzieć, skondensowanie. Przy całej różnicy metodologii, tak dobitnie ujawnionej na początku Szkoły Nauki Społecznej, dostrzec można powinowactwo z tym, co w swych książkach opisywał Labatut. Instytut jest unikalny, ale jest częścią aktywności zwanej nauką z jej wszystkimi sprzecznościami i problemami. Pozostanie ona punktem odniesienia raz jasnym i wyraźnym, raz migotliwym i zamglonym jak oddalające się światła na *von Neumann Drive*. ■

---

*Leszek Koczanowicz – filozof i kulturoznawca. Jest profesorem na SWPS. Wykładał i prowadził badania na wielu zagranicznych uniwersytetach i w innych instytucjach badawczych. Zajmuje się kulturą nowoczesności, filozofią współczesną, teorią kultury, teorią społeczną i badaniami kulturowych aspektów polityki. Jest autorem i redaktorem wielu publikacji, w tym: „Współczesna filozofia społeczna. Rozmowy i eseje o społeczeństwie obywatelskim i etyce demokracji” (2011), „Eseje o demokracji i jej adwersarzach” (2012), „Niedokończona polityki: demokracja, populizm, autokracja” (2022), „Polityki oporu. Nieposłuszne ciała i nisze emancypacji” (2025).*

**Leszek Koczanowicz**  
**Rok w raj (naukowym),**  
**czyli jak działa wspólnota badaczy**

W połowie września 2024 roku w upalny wieczór Dorota i ja, małżeństwo akademickie z Wrocławia, kulturoznawczyni i filozof; wylądowaliśmy na lotnisku **Newark**, rozpoczynając przygodę pobytu badawczego w Instytucie Studiów Zaawansowanych w Princeton (Institute for Advanced Study, IAS), gdzie dzieje się spora część akcji *Maniaka*. Instytut zorganizowany jest jako wspólnota uczonych, rodzaj świeckiego **klasztoru**, i obowiązuje w nim zasada, że wszyscy muszą mieszkać na jego terenie, w budynkach zaprojektowanych przez architekta z Bauhausu Marcela Breuera. Wiedzieliśmy, że nam przydzielono mieszkanie przy von Neumann Drive numer 235, co stało się naszym adresem przez najbliższy rok akademicki. Przy zamawianiu taksówki trzeba było się przebić przez amerykańską wymowę tego niemieckiego nazwiska, ale po nieco ponad godzinnej jeździe dotarliśmy na teren IAS.

Dorota została z **bagażami**, a ja ruszyłem na poszukiwanie kluczy do głównego budynku Fuld Hall. W końcu dotarłem do nocnego strażnika i zdobyłem klucze, co umożliwiło nam wkroczenie do naszego mieszkania na parterze małego piętrowego domku. Breuera zatrudnił Oppenheimer, który był dyrektorem Instytutu przez dwadzieścia lat. Między sosnami powstało modernistyczne osiedle, zaprojektowane w myśl zasady maksymalnej prostoty i użyteczności. Celem tego przedsięwzięcia było stworzenie środowiska sprzyjającego budowaniu ducha wspólnoty wśród członków IAS. Mimo upływu czasu ciągle wygodnie się w nich mieszka.

Już wkrótce mieliśmy się zorientować, że Instytut to właściwie osobne, oddalone od świata zewnętrzne osiedle, z własną infrastrukturą i domkami **mieszkalnymi**, usytuowane w rozległym gęstym lesie ze stawem pośrodku. Nad lasem krążą sępy indyjskie, mieszkają kardynały, dzięcioły, drozdy, czaple, **kaczki**... 200 gatunków

ptaków migrujących. Ci, którzy oglądali głośny film *Oppenheimer*, pamiętają może kluczową dla fabuły rozmowę między Einsteinem i tytułowym bohaterem dokładnie w tym miejscu, nad tym stawem. Jak doszło do powstania IAS, unikalnej wspólnoty uczonych?

U początków Instytutu leży fuzja dwóch **czynników**, idei i pieniędzy, które pozwoliły ją zrealizować. Pomysł pojawił się w końcu lat dwudziestych ubiegłego wieku w umyśle Abrahama Flexnera, uczonego i reformatora edukacyjnego, który patrząc wstecz na swoje dokonania, pisał w eseju o znamiennym tytule *Użyteczność bezużytecznej wiedzy* o badaniach podejmowanych dla zaspokojenia ciekawości badaczy; właśnie one – twierdził – najbardziej zmieniają świat. Ich konsekwencje praktyczne transformujące często trajektorie rozwoju całych cywilizacji są wtórne w stosunku do podejmowanych bezinteresownie wysiłków, by lepiej zrozumieć otaczającą nas rzeczywistość. Uważał, że *Instytut powinien być niewielki i elastyczny; powinien być przystanią, w której uczeni mogą traktować świat jako swoje laboratorium, nie dając się porwać wirowi bieżących wydarzeń; powinien być prosty, wygodny, cichy, ale ani ascetyczny, ani odizolowany; nie powinien obawiać się żadnych kwestii ani podlegać presji jakiegokolwiek podmiotu, który mógłby skłaniać naukowców do stronniczości. Powinien zapewniać spokój, infrastrukturę i czas niezbędny do fundamentalnych badań nad nieznanym. Naukowcy powinni cieszyć się pełną swobodą intelektualną i być wolni od obowiązków administracyjnych.*

Koncepcja takiej swobody twórczej jest oczywiście obciążona ryzykiem, ale zdaniem założycieli Instytutu warto było ją podjąć. Na stronie internetowej IAS jest informacja, że przewinęło się tam trzydziestu siedmiu noblistów i czterdziestu sześciu laureatów Medalu Fieldsa, odpowiednika Nobla w matematyce. Jeden z członków Instytutu, Abraham Pais, napisał o swoim pobycie tam w latach czterdziestych: *To jest nierealne miejsce, Bohr*

*przychodzi do mojego biura porozmawiać, wyglądam przez okno i widzę Einsteina idącego do domu ze swoim asystentem. Dwa biura dalej siedzi Dirac. Na dole siedzi Oppenheimer. Wielkich nazwisk nie brakuje w historii Instytutu, ale oczywiście największe wrażenie robią ci najwybitniejsi, przede wszystkim Albert Einstein, który spędził tam ostatnie dwadzieścia lat życia, Kurt Gödel czy John von Neumann, którzy przebywali tam równie długo. Jest wiele historii i anegdot o ich stylu życia. Von Neumann znany był z organizowania muzyczno-alkoholowych imprez, na które skarżyli się sąsiedzi. Nie odpowiadała im zwłaszcza głośna muzyka marszowa monarchii habsburskiej.*

Moją ulubioną opowieścią jest jednak ta o **Gödlu**, który przygotowując się do egzaminu wymaganego przy staraniu się o obywatelstwo amerykańskie, przeanalizował analitycznie konstytucję amerykańską i doszedł do wniosku, że istnieje w niej wewnętrzna sprzeczność, która prowadzi do tego, iż nie ma w niej zabezpieczeń przed wprowadzeniem ustroju totalitarnego w tym kraju. O swoim odkryciu powiedział przyjacielowi Oskarowi Morgensternowi, też profesorowi w Instytucie, który z kolei przekazał tę informację Einsteinowi. Mimo że odkryta przez austriackiego logika wada ma nawet swoją nazwę „**Gödl** lu luka prawna”, wciąż trwają spory o jej treść, gdyż przekazana przez Morgensterna wersja historii jej nie zawiera. Tak czy inaczej, odkrycie to spowodowało, że rozprawa w sprawie przyznania mu obywatelstwa nabrała dramatycznego wymiaru, kiedy sędzia zapytał, czy Stany Zjednoczone mogą stać się państwem totalitarnym. Na szczęście Einstein i Morgenstern byli obecni na rozprawie i sędzia, który znał Einsteina z rozprawy o obywatelstwo, zauważał jego zaniepokojenie i szybko zmienił pytanie. Może i zbyt szybko, może drażnienie tej luki doprowadziło do takiej sytuacji, że rzeczywistość zamknięto by drogę autorytaryzmowi, którego przejawy z takim niepokojem obecnie obserwujemy.

Anegdoty pozwalają jednocześnie ośwoić i zmitologizować Instytut, ale jego urok i rozmach polega na ciągłym przenikaniu się życia codziennego i pracy naukowej. Symbolem tego przenikania mogą być zwykłe czarne tablice, które stoją we wszystkich budynkach, ale też w lecie na trawnikach. Kreda do nich sprowadzana jest z Japonii, bo tylko ta nie brudzi rąk. Przy każdej z nich gromadzi się tłumek matematyków czy fizyków, a po ich odejściu często pozostają polecenia, aby „nie ścierać!”.

Przedłużeniem spotkań naukowych są przechadzki po lesie Instytutu. Do legendy przeszły spacery Einsteina z **Göddlem** i wypowiedź tego pierwszego, jak ważne były one dla niego. Stało się to częścią mitologii Instytutu, bo jak pisał George Dyson, historyk nauki i syn wybitnego **fizyka**, *nikt nigdy nie dowie się, ile problemów z matematyki, fizyki, historii, astronomii, ekonomii, nauk politycznych, społecznych, informatyki i biologii zostało o krok bliżej rozwiązania dzięki wspólnej rozmowie lub samotnemu spacerowi po lesie Instytutu.*

Spacerują oczywiście istotne, ale cały proces życia w Instytucie sprzyja ciągłej wymianie opinii. Istotną jego część stanowią wspólne posiłki w stołówce. Tam się wszyscy spotykają i dochodzi do spontanicznych rozmów, które często przekształcają się w prawdziwe naukowe dyskusje. Generalnie można powiedzieć, że **takie elementy wspólnego życia jak** mieszkanie obok siebie, posiłki, spotkania w barze, który jest na terenie IAS, **sprawiają**, że pobyt tam to właściwie nieustająca rozmowa, źródło inspiracji, ale czasem też i irytacji, kiedy nie udaje się uzgodnić poglądów.

Naturalnie istnieją, choć zredukowane do minimum, obowiązkowe formy dyskusji. Na początku pobytu powiedziano nam, że szanują każdy styl pracy, można pracować w przydzielonych pokojach w West Building, w biurze, w mieszkaniach, w bibliotece czy jednym z pokoiów seminaryjnych. Jedynym obowiązkiem było uczestnic-

two w poniedziałkowych seminariach, gdzie każdy miał okazję przedstawić wyniki swych **badania**, i wspólny lunch po formalnym zakończeniu dyskusji. To nie była seria referatów „do protokołu”. Towarzyszyła im długa, często bardzo krytyczna, ale merytoryczna i życzliwa rozmowa. Widać tam coś, czego często brakuje w naszych instytucjach: czas. Jest miejsce na pytania, nieporozumienia, na różnice języków między socjologią, antropologią, filozofią polityki. Tak jednak jest w obrębie Szkoły Nauki Społecznej, a Instytut składa się z czterech takich **szkół**; oprócz już wymienionej **są to szkoły** Nauk Przyrodniczych, Matematyki i Studiów Historycznych. Każda z nich ma swoje wewnętrzne zwyczaje i rytmy pracy ukształtowane przez długą historię. Wspólna jest ogólna struktura, każda z nich składa się ze stałej, nielicznej kadry i zmieniających się grup uczonych, którzy dołączają zwykle na semestr lub rok, choć niektórzy pozostają dłużej.

Szkoła Nauki Społecznej jest stonkowo świeżym dodatkiem.

Jej powstanie było jednym z najbardziej kontrowersyjnych wydarzeń w historii Instytutu. Powstała w 1973 roku z inicjatywy wybitnego antropologa Clifforda Geertza. Jak pisze **on** w swych wspomnieniach, **utworzenie tej szkoły nie było łatwym zadaniem** mimo zaangażowania w sprawę ówczesnego dyrektora Carla Kaysena. Wielu przedstawicieli nauk ścisłych radykalnie przeciwstawiało się tej idei, uważając, że nauki społeczne nie są tak naprawdę naukami i przez to Instytut straci znaczną część swego prestiżu. Grozili oni dyrektorowi, że utworzenie tej szkoły będzie jego **Wietnamem** czy pyrrusowym zwycięstwem.

Napięcia te skumulowały **się** przy okazji zatrudnienia Roberta Bellaha, wybitnego socjologa religii. Przeciwstawiała się temu większość profesorów, głównie, choć nie tylko z nauk przyrodniczych i matematyki. Sprawa stała się sensacją gazetową i Geertz przytacza nagłówki prasowe z tego czasu: *Kłopoty w raj*, *Pioruny na Olimpie*, *Ogród Samotnego Mędrca*,

*W gajach, w których pracował Einstein... dialog nie jest sokratejski*, *Zaciekle walka w wieży z kości słoniowej*. Inny uczestnik tej kontrowersji, filozof Morton White, który był przeciwnikiem zatrudnienia Bellaha, opisuje ciekawą dyskusję na zebraniu Rady Instytutu, która, jak myślę, dobrze ilustruje rozbieżności w myśleniu przedstawicieli różnych nauk. Kurt Gödel powiedział, że dla niego głównym kryterium wielkości uczonego jest to, na ile przybliży się on do prawdy. Na przykład byli wybitni skądinąd uczeni, którzy bronili teorii flogistonu, która okazała się całkowicie fałszywa. Pytał więc, czy Bellah w swoich badaniach zbliży się do **prawdy**, czy od niej się oddala. Na to replikował Geertz, że w naukach społecznych głównym kryterium wielkości uczonego jest wpływ, jaki ma na badania swoich kolegów w uprawianej przez siebie **dyscyplinie**, i niewątpliwie pod tym względem Bellah jest wybitny. Gödel **zapytał**: A co, jeżeli wpływa on tylko na mierne umysły?

Z obecnej perspektywy, kiedy spory uchłyły, a nauki społeczne są trwałym elementem Instytutu, możemy potraktować tę wymianę zdań jako podstawę rozważań, jak łączyć różne kryteria wartościowania wiedzy. Czy możemy mówić jednym językiem o prawdzie w fizyce i socjologii? Czy w ogóle powinniśmy? Pewno nikt nikogo nie przekonał, ale spór uwidocznił założenia, które każda ze stron wnosi ze swojej dyscypliny, co samo w sobie stanowi wartość. Obecnie, kiedy Szkoła Nauki Społecznej wpisała się na **trwale** w struktury **Instytutu**, dyskusja idzie raczej w stronę możliwości integracji wiedzy, czyli interdyscyplinarności czy transdyscyplinarności. Spotkania przedstawicieli różnych dyscyplin są istotną misją IAS. Jedną z możliwości jej realizowania jest wspólny, interdyscyplinarny lunch. Trzeba się na niego zapisać z wyprzedzeniem, żeby dołączyć do stolika czekającego na uczonych różnych specjalności. Moje doświadczenia z takich spotkań są ambivalentne. Czasem wymiana zdań sprowadzała się do odpowiedzi na rytualne pytanie o zakres pracy naukowej,

który bywa tak ezoteryczny, że właściwie nie zostawia pola do dalszej dyskusji. Czasem jednak pojawiają się jakieś punkty zaczepienia i udawało się rozmowę kontynuować.

Bardziej żywe dyskusje toczyły się na wykładach interdyscyplinarnych, w trakcie których uczeni przedstawiali swoje idee przez 15 minut, potem następowało 20 minut sformalizowanej dyskusji, która na koniec przekształcała się w swobodną rozmowę przy barze. Pamiętam z jednego z takich spotkań ciekawą, choć niekonkluzywną wymianę **zdań na temat tego**, co to znaczy, że człowiek rozumie formuły **matematyczne**, a AI, choć je generuje, nie jest w stanie ich zrozumieć. Humanisci chcieli definicji „rozumienia” a matematycy uważali, że jest ona oczywista.

Jednak w obrębie pokrewnych dyscyplin – w moim **przypadku**: historii i nauk społecznych – dyskusje były zawsze żywe i przynajmniej pouczające, nawet jeśli nie prowadziły do rozwiązania problemu. W ogóle Instytut można określić jako nieustający dialog, ciągłe spotkania owocują dyskusjami, które zaczynają się w najbardziej nieoczekiwanych **miejscach**, jak choćby **pralnia**, i potem albo zanikają, albo przenoszą się w inne miejsca, a ich tematy **wciąż powracają**.

Sukces tego miejsca sprawia, że w ostatnich dekadach obserwujemy dynamiczny rozwój Instytutów Studiów Zaawansowanych, które w mniejszym lub większym stopniu odwołują się do modelu IAS w Princeton. Działa na przykład europejska sieć około 25 instytutów, istnieje konsorcjum francuskich IAS-ów, powstają ośrodki związane z uniwersytetami (jak Radcliffe Institute na Harvardzie), a obok nich funkcjonują instytuty niezależne, takie jak NIAS w Holandii. Myślę, że popularność ta wynika z tego, że pełnią one dziś rolę uzupełnienia systemu grantowego: o ile w grantach dominuje presja na szybki, mierzalny wynik, planowanie rezultatów na kilka lat naprzód oraz składanie obietnic **impactu** jeszcze przed rozpoczęciem badań, o tyle w instytutach typu IAS klu-

czowa jest presja na myślenie, wymianę, dialog. Nie oczekuje się tam natychmiastowych „produktów”; zakłada się raczej, że czas poświęcony na spokojne rozważania, rozmowy i twórcze błędzenie przełoży się dopiero po jakimś czasie na konkretne osiągnięcia. To zatem nie alternatywa wobec grantów, lecz konieczny kontrapunkt.

Kiedy opuszczaliśmy IAS w lipcu 2025 roku mieliśmy poczucie, że to był jeden z najlepszych, jeśli nie najlepszy rok naszego życia naukowego. Myślę, że podzielały to odczucie wszystkie osoby z naszej grupy, choć trudno byłoby nam **wyjaśnić**, co się takiego wyjątkowego wydarzyło. Wszyscy byliśmy zaawansowanymi badaczami, każdy miał doświadczenie urlopów naukowych, pracy w grupie kolegów, dyskusji i wspólnego dochodzenia do konkluzji. Każdy z elementów pobytu był więc nam znany i przeżywany. Ale jednocześnie czuliśmy, że nasz czas w Instytucie był wyjątkowy. Co o tym decydowało?

Jeżeli miałbym ryzykować jednoznaczna odpowiedź, to stawiałbym na intensywność doświadczenia, jego, jeśli tak można powiedzieć, skondensowanie. Przy całej różnicy metodologii, tak dobitnie ujawnionej na początku Szkoły Nauki Społecznej, dostrzec można powinowactwo z tym, co w swych książkach opisywał Labatut. Instytut jest unikalny, ale jest częścią aktywności zwanej nauką z jej wszystkimi sprzecznościami i problemami. Pozostanie ona punktem odniesienia raz jasnym i wyraźnym, raz migotliwym i zamglonym jak oddalające się światła na *von Neumann Drive*. ■

---

*Leszek Koczanowicz – filozof i kulturoznawca. Jest profesorem na SWPS. Wykładał i prowadził badania na wielu zagranicznych uniwersytetach i w innych instytucjach badawczych. Zajmuje się kulturą nowoczesności, filozofią współczesną, teorią kultury, teorią społeczną i badaniami kulturowych aspektów polityki. Jest autorem i redaktorem wielu publikacji, w tym: „Współczesna filozofia społeczna. Rozmowy i eseje o społeczeństwie obywatelskim i etyce demokracji” (2011), „Eseje o demokracji i jej adwersarzach” (2012),*

*„Niedokończone polityki: demokracja, populizm, autokracja” (2022), „Polityki oporu. Nieposłuszne ciała i nisze emancypacji” (2025).*